



JACEK GUTOROW

CHWILE W ROZPROSZONYM

ŚWIETLE. O NOWEJ KSIĄŻCE

KAROLA MALISZEWSKIEGO

ODY ODBITE KAROLA MALISZEWSKIEGO. WIELE ZALEŻY OD TEGO, W JAKIM KONTEKŚCIE, Z JAKIM BAGAŻEM, POD JAKĄ GWIAZDĄ PRZECZYTAMY TE WIERSZE. JEŚLI BAGAŻ JEST WYSTARCZAJĄCO DUŻY, CZYLI MAMY W PAMIĘCI POPRZEDNIE ZBIORY NOWORUDZKIEGO POETY, I JEŚLI GWIAZDY NAM SPRZYJAJĄ, TO ZNACZY ODNALEŻLIŚMY W JEGO WIERSZACH CZĄSTKĘ SIEBIE, A W SOBIE ODNALEŻLIŚMY CZĄSTKĘ TEJ POEZJI, TO EFEKT MOŻE BYĆ CZASEM ZASKAKUJĄCY. ZASKAKUJĄCE SĄ ZWŁASZCZA ODEJŚCIA OD WIERSZA MAJĄCEGO UCHODZIĆ ZA WYRAZ BEZPOŚREDNIEGO DOZNANIA I DOŚWIADCZENIA ŚWIATA – TAKĄ WIZJĘ POEZJI ODNAJDZIEMY W WIELU POPRZEDNICH KSIĄŻKACH MALISZEWSKIEGO – I WYRAŹNE W ODACH FASCYNACJE WIERSZEM ZAPOŻYCZONYM, TROCHĘ PASOŻYTNICZYM, WCHODZĄCYM W SKOMPLIKOWANY DIALOG Z WIERSZAMI INNYCH POETÓW, CHOĆBY TYCH WYMIENIONYCH Z IMIENIA (ANDRZEJ SOSNOWSKI, TADEUSZ PIÓRO CZY EUGENIUSZ TKACZYSZYN-DYCKI).

Wrażenie najsilniejsze: mamy do czynienia z poetą poszukującym. Nie siebie i nie życia, lecz nowych metafor na opisanie własnej egzystencji, nowej frazeologii, która mogłaby unieść coraz bardziej złożone rozpoznania (a pamiętajmy, że autor tych wierszy przekroczył pięćdziesiątkę), nowego zaśpiewu, dzięki któremu dałoby się oddać melodie zapętłonego, rozproszonego, rozbrojonego, zwodniczego języka. Maliszewski szuka, zdając sobie sprawę, że jest już za późno na oryginalność, że już zawsze jesteśmy spóźnieni, że jedynym wyjściem z tej sytuacji może być odbijanie słów i zdań pod nieco innym kątem. I takie są te nowe wiersze, czasami odbijające światło innych poetyk, czyniące to jednak świadomie, z poczuciem wychodzenia naprzeciw jakiemuś pełniejszemu „ja”, które zazwyczaj pozostaje niedostępne i złudne w ramach tak zwanego „własnego stylu”. Maliszewski, bodaj po raz pierwszy, bawi się stylami, mnoży odniesienia i czyni notatki na marginesach rozgałęziających się sensów. Zresztą już w pierwszym wierszu pojawia się coś w rodzaju definicji rytmu, w jakim należy czytać pozostałe teksty: *glosy... taki gatunek/ będziemy sztukować, aż puszczą fastrygi*. Glosy, glosy, gatunki, i żadnych mocnych przesłań, na których można by oprzeć lekturę.

Co my tu mamy? A raczej: czegoś tu nie ma? Bowiem o ile we wcześniejszych tomach Maliszewskiego dało się odczuć dążenie do skrótu perspektywy i wypowiedzi podanej w możliwie jednej tonacji, o tyle teraz w paradę wchodzi nam nagle zakłócenia, gry słów i dźwiękowe odbicia, które od początku tkwiły w podświadomości tej poezji, a w nowych wierszach wyznaczają podstawowe współrzędne tak zwanej „wypowiedzi poetyckiej”. Mówienie o jakimś zwrocie byłoby oczywiście przesadą. Nie da się jednak nie zauważyć efektu pękniętej dykcji i rozwarstwionych znaczeń, które z niejakim zaskoczeniem łapią się na tym, że niewiele w istocie znaczą, a ich status jest nader umowny. Czyżby kolejny przejaw zgniłego postmodernistycznego relatywizmu? Chciałoby się. Jednak żadnej światopoglądowej formuły w tych wierszach nie odnajdziemy. Z całą pewnością nie odnajdziemy w nich relatywizmu, który nie znosi takiej koncentracji i takiego parcia na pojedynczość każdego doznania, a ody Maliszewskiego, jakkolwiek odbite i rozrzedzone, skupiają jak w soczewce pasję poszukiwania, miłość detalu, słabość do ostatniego akordu. Trochę postnych klimatów tu mamy, lecz poezja zawsze taka była – pokrętna, nieodpowiedzialna,

mało solenna. Należałoby ją właściwie z góry wykluczyć, choć czy wtedy nie zostalibyśmy sami z przerażającą, jednowymiarową dosłownością?

Nie wszystkie wiersze przekonują mnie tak samo, nie wszystkie uskoki wydają mi się dostatecznie atrakcyjne, nie wszystkie odbicia przemawiają w równym stopniu. Ale pozostaje przyjemność lektury, przyjemność obcowania ze szczęśliwie inwazyjnym, nieuledzonym poetą, któremu niekoniecznie zależy na pisaniu kolejnych „ładnych” wierszy, i który dość dobrze opanował sztukę ironizowania na marginesie takich jak ten cudzysłówów. *Siłą rozpadu jedzie się dalej*, czytamy w wierszu *Dotkliwa lekcja*. No więc tak, rzeczywiście, nie inaczej – w słowach, które na każdym zakręcie tracą dotychczasowy sens, ale zawsze przynoszą nam sens nowy, ładny-nie-ładny, ważki-nie-ważki, solenny-nie-solenny, stający się sankcją własnego – i naszego – istnienia. To naprawdę sporo.

Jacek Gutorow (ur. 1970) – poeta, krytyk literacki, tłumacz. Opublikował sześć tomów poetyckich, ostatnio *Nad brzegiem rzeki, 1990-2010* (Biuro Literackie, Wrocław 2010). Ma na swoim koncie cztery zbiory krytycznoliterackie: *Na kresach człowieka. Sześć esejów o dekonstrukcji* (2001), *Niepodległość głosu. Szkice o poezji polskiej po 1968 roku* (2003), *Urwany ślad. O wierszach Wirpyszy, Karpowicza, Różewicza i Sosnowskiego* (2007), *Księga zakładek* (2011) oraz monografię *Luminous Traversing. Wallace Stevens and the American Sublime* (2007). Przekłada poezję amerykańską (m. in. Wallace Stevens, Ron Padgett, John Ashberry) i angielską (m. in. Simon Armitage, Charles Tomlinson, Geoffrey Hill, David Kennedy). Wykłada literaturę anglojęzyczną na Uniwersytecie Opolskim.